

# ŁAN MŁODZIEŻY

::: DWUTYGODNIK KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ. :::

WYCHODZI 1-GO I 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA Z WYJĄTKIEM LIPCA  
I SIERPNI. — REDAKCYA I ADMIN.: KRAKÓW — BATOREGO 8.

Prenumerata wynosi: W Krakowie i Galicyi rocznie 5 kor., pojedynczy numer 30 hal. Z wysyłką pocztową 6 kor., pojedynczy numer 35 hal. — W Poznańskim 6 M. pojed. numer 35 fen. — W Królestwie Polskiem i Ces. ros. 3 rs. pojed. numer 15 kop. — W Stanach Zjedn. p. Am. 1 dol. 50 cent. pojedynczy numer 10 cent. — We wszystkich innych krajach 7 franków, pojedynczy numer 40 cent.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

## NUMER WAKACYJNY.

**Wynik sądu konkursowego na temat: Ideał studenta polskiego.**

Od kilku miesięcy drukowaliśmy szereg prac wybitniejszych zbierając chętnie głosy starszych i młodszych czytelników »Łanu«.

Na ich podstawie, z naszym przekonaniem zgodnej, przyznaliśmy znaczną większość głosów pierwszeństwo pracy pod godłem: »Otom ja sługa wasz, ognisko moje rodzinne, kraju mój i Boże mych przodków« a podpisanej »Student polak«.

Ponieważ jednak autor anonimu swego nie ma zamiaru odsłonić, jako pierwszą nagrodę moralną, stawiamy poza konkursem pracę jego, drukowaną w Nr. 11 z dnia 1-go czerwca.

Nagrody zaś przyznajemy najlepszym po niej pracom w szeregu następującym.

I-szą, rozprawce wyczerpującej życie etyczne gimnazjalisty pod godłem: Ἐσεσθε νῦν ὑμεῖς τέλειοι, ὡς ὁ πατήρ ὑμῶν ὁ οὐράνιος τέλειός ἐστιν. (Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz w niebie doskonałym jest). Autor, pan Władysław Gąsiorowski z Krakowa, uczeń z I. r. fil. uniwersytetu Jag., były abiturjent gimnazjum św. Anny.

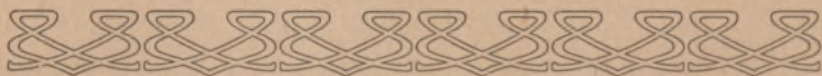
II-gą pracy oznaczonej godłem May; ta określa dążenie uczenie, drukowaną była w Nr. 8. Autorką jest panna Marya Jędrzejowiczówna z Hyżnego, słuchaczka fil. na uniwersytecie we Fryburgu.

III-cia bez godła i dotąd nie drukowana przypada panu Wacławowi Wierzbińskiemu, uczniowi gimnazjum z Nowego Sącza.

Poza temi pracami wyszczególnićby należało kilka innych, które rozmiarem głębszych studyów, lub zapałem młodzieńczym, jak i odczuciem bolesnego nieraz stanowiska naszej młodzieży, dały wyraz życzliwości dla naszego konkursu. Do tych należą: »Młodości orla twych lotów potęga«, rozprawa: »Per aspera ad astra«, szereg dłuższych artykułów pod godłem: »Prawdą i pracą«. »Avanti«, praca bez godła, p. J. K. Karłowicz z gub. permskiej.

Dziękując wszystkim, prosimy laureatów, o porozumienie się z nami, w sprawie podróży do Londynu, Albionu i Pragi, których zechcą oznaczyć termin.

*Redakcja.*



### **Z zakończenia pieśni społecznej.**

Panie! — pieśniom szaty dałem  
Takie ubożuchne,  
I o sztuce zapomniałem,  
We wszech — pieniu głuchnę!

Głuchnę, ślepnę — w górę lecę,  
Olśnąłem, nie świecę...

Zapatrzyłem się w pięknościach  
Wielkiej męczennice,  
W opatrnościach i w litościach  
Twych — nad błyskawice.

Panie! — iluż to ja znałem  
Wierniejszych Ci — Panie!?  
Co modlili się chorałem  
Cierpiąc katowanie.

I lzy leli — i krew leli  
W strasznej cytadeli.

Tworzącego zeszliz ducha  
A kamień, posłucha...

I róż — kapią się woniami  
Te czarne chmurzyska,  
I psalmami, motylami,  
Wyfruniem z mrowiska!...

Chwała — chwała Tobie Panie,  
Chwała — —

Niech się stanie.

*Cypryan K. Norwid.*



## O Cypryanie Norwidzie słów kilka.

(Ciąg dalszy.)

Jak już z przytoczonych urywków możemy sądzić Norwid wyprzedzał bardzo swój czas w poglądach na sztukę i na jej zastosowanie do życia. W poezji naówczas mało kto szukał poezji jako takiej, lecz dopatrywano się w niej i przeważnie ceniono hasła społeczne i patryotyczne. Widać to na przykładach przedewszystkiem Słowackiego, poczęści Krasińskiego, których lekce sobie wazono na korzyść Zalesskiego, Garczyńskiego i im podobnych.

Zresztą w poezji było lepiej, ale sztuki plastycznej, poza Orłowskim, Rodakowskim i paru innymi początkującymi — u nas nie było. Wogóle nie można było mówić o malarstwie polskiem. Cóż więc dziwnego, że Norwid był niedoceniony i niezrozumiany! Cóż więc dziwnego, że gorycz wzbierała w piersi Norwida. Przez usta Michała Anioła mówi o »Krytykach.

»Mali!! zaprawdę mali! oni by gotowi  
Za całą wartość piętę dać Achillesowi —  
Ale jak piersi jego stawiały się grotom,  
Zwierzyć to objaśnieniom, przypiskom i notom.  
Lecz błąd mój ani wiedzą co w nich uwydatni:

Wielecy w prywatnych rzeczach, w publicznych — prywatni.  
Lecz nad goryczą zapanowuje w duszy Norwida rezygna-  
[cyjny smutek —

»Kto kocha, widzieć chce choć cień postaci —  
I tak się kocha matkę, ojca, braci;  
Kochankę, Boga nawet — więc mi smutno  
Że mazowieckie ani jedno płótno  
Nie jest sztandarem sztuce; że ciosowy  
W krakowskim kamień zapomniał rozmowy,  
. . . . . forma pokrzywdzona woła.  
Niejeden szlachcic widział Apollina  
i Skopasową Milejską Wenere,  
a wyprowadzić nie umie komina,  
W ogrodzie krzywo zakreśla kwaterę;  
Budując spichlerz, często zapomina,  
Że pożyteczne nigdy nie jest samo,  
Że piękno wchodzi, nie pytając, bramą.

A dalej w proroczym utęsknieniu woła:

»I tak ja widzę przyszlą w polsce sztukę  
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży;  
Nie jak zabawkę, ani jak naukę,  
Lecz jak najwyższe z rzemiosł a postoła  
I jak najniższą modlitwę anioła«.

\*

\*

\*

Norwid z pewnością pierwszy u nas, a jeden z pierwszych wogóle zwracał uwagę na to, co potem nazwane zostało Sztuką stosowaną.

Lecz cóż? — wszystko było napróżno... Duch czasu, wogóle »bałwany różnych szkół i różnej doby, nieistniejące a możliwe« były silniejsze od Norwida, i zagłuszyły go zupełnie, tak jak Sowińskiego, Berwińskiego, Magnuszewskiego, Faleńskiego, — prawdziwych artystów — ludzi, a dały głos — społecznikom raczej; Kaszewskiemu, Jeżowi, Polowi i innym, ludziom zresztą szanownym, lecz z natchnieniem nie mającym mało wspólnego. Norwid dobrze to rozumie: »Cała sztuka — pisze w liście — »pisarskiej nie wyłączając, jest wszędzie w upadku, i dlatego zarówno jest co robić, jak za co cierpieć i z czem walczyć«. Ale też rozumie, że to

jego walki nie prędko będą zrozumiane i odczute — przeto rzuca na pół skargą, na pół nadzieją, i poczuciem godności własnej przepojone strofy:

»Klaskaniem mając obrzękłe prawice«...

Norwid w twórczości swej przeważnie się wyraża w subiektywnym poemacie-dyalogu. Tego rodzaju jest większa część »Promethidiona«, »pięć zarysów«, a zwłaszcza »Quidam«, jedno z najważniejszych dzieł jego; snadź i inne, które mi nie są znane.

W późniejszych okresach swego życia Norwid się ima satyry, lecz w niej pogodny jest bardzo; tego rodzaju satyrami są; Ad leones, Cywilizacya, Bransoletka, Stygmat i inne.

\* \* \*

Norwid w słowie maluje; wspaniałe są jego charakterystyki, które — narzucone zaledwie — stawiają osobistość przed oczy, jak żywą. Zwłaszcza dziwną siłą impresyi wyróżniają się charakterystyki ze »Stygmatu«, nie na próżno najpóźniejszego dzieła artysty.

Wreszcie mamy trzy dramaty Norwida. Jeden nawet — »Krakus« — wystawiony był na krakowskiej scenie. Inne dwa »Wanda« i »Kleopatra«.

Przedmiotem dramatu N. uważa ujawnienie fatalności historycznej, właściwej danej epoce lub wiekowi. Zdaje mi się, że to tłumaczyć należy tak: każdy z zasadniczych problemów ludzkości (jak w jego dramatach alegorye smoka lub Niemców) — dojrzewa powoli, aż wreszcie nadchodzi chwila, w której ów wrzód dojrzały musi pęknąć. Owóż, przedstawienie i oświetlenie należyte tej chwili przełomowej jest zadaniem artysty-dramaturga. Więc krytyczna i zasadnicza chwila każdej rewolucyi — społeczno-politycznej, czy moralnej — jest problematem dla dramatopisarza. Jasne to jest, — wszak przedmiotem dramatu nigdy nie jest życie szare.

\* \* \*

Przejdźmy teraz do poglądów religijnych, filozoficznych i t. d. Norwida. Był on katolikiem, głębokim i gorącym. Piśme w jednym miejscu, w liście prywatnym, w chwili wielkiego przygnębienia: ... zaiste bez najmniejszej egzageracyi

mówię, że jedną tylko rzeczą, jedną tylko — jedyną pocieszyć mogę siebie, — a ta wszelako wielka jest — to jest — wierzę. Dalej zaś: pamiętny na to, iż Bóg i mistrz i pan nasz, spotykając ślepego, chromego, opętanego i t. d. — nie mówił im: czekajcie, powiem wam, za co jesteście tacy a tacy, — ale raczej rozrzewniał się, i rozjaśniał, i ujmował za rękę, i mówił: wstańcie, otrzeźwcie oczy — nie napadam na te biedne fałszy, które nie mają, gdzie dotknąć głowy i zreflektować się, — ale, będąc sam już prawie za tym światem, pomnę niemniej:

1 — jak jest wszelkie faryzejstwo traktowane u tegoż Mistrza...

2 — jak się popchnie chrystyanizm po nad chrystyanizm, to stanie poza, — bo chrystyanizm jest w środku czasów.

Był Norwid mistykiem — czego można było z góry być pewnym. Wszak każdy wielki poeta dochodzi do mistycyzmu. Wszak nawet Goethe sławił w żywych tę tęsknotę, co ogniowej śmierci chciwa — i głosił: *Stirb und werde*; i Kasprowiec, natura wszystkimi korzeniami wzrosła w ziemię (którego to przymiotu niesłusznie odmawiają mistykom) — wie, że złudą li jest śmierć, a znów prawdą — życie.

Ciekawe — chociaż bezpośrednio zbędne — zdanie Norwida o anti-mistykach. Są ludzie, którzy wszystko co jest nad rozum, za przeciw — rozumne biorą. Tym sposobem, nazwawszy mistycyzmem wszystko, czego się zgłębić nie chce (bo to praca), ani przyjąć (bo to pokora) — są już na szczycie doskonałości.

\* \* \*

Wreszcie coś trzeba powiedzieć o szacie zewnętrznej poezji Norwidowej. Co tu uderza i zastanawia, to dziwna subtelność, cieniowanie — zwłaszcza w utworach późniejszych — nigdzie nuty przeciągniętej; efekta wydobywa Norwid z najblahszej, zdawałoby się, okoliczności. Zwłaszcza zaś uderza nas humor, śmiech przez łzy, ów przdziwny humor ludzi wyższych, pogodny, łagodny, pełny wyrozumienia uśmiech; ów humor, który mają Cerwantes, Szekspir, Mickiewicz w Panu Tadeuszu, Słowacki nie

w Beniowskim, lecz w Fantazym (Niepoprawnych). Zarzucają Norwidowi niejasność; dla mnie osobiście u Norwida nie specjalnie niejasnego niema — tyleż niejasności ma dla mnie Mickiewicz, Słowacki, — już nie mówiąc o Krasińskim. Ale że N. jest niejasny dla tych, co się z nim jeszcze nie zżyli — to mię nie dziwi; przedewszystkiem z wieszczami tak czy inaczej jesteśmy osłuchani: nie tylko my od dzieciństwa poznawaliśmy ich, lecz i dla naszych rodziców wieszczowie nie byli obcy. N. co innego — dziś jeszcze znają go tylko ludzie specjalnie zajmujący się literaturą. Ale co do jasności powtórzę za Norwidem, że dwa są rodzaje jasności: jasność formalna, gdy narazie każde poszczególne zdanie się rozumie, lecz nie wiemy o co właściwie mówcy lub pisarzowi idzie; — i jasność rzeczowa, gdy intencya autora jest jasna, bowiem i kryształowa nawet szyba, kiedy się w skośnie na nią patrzy, zasłania oczom przedmioty.

Jednak pomimo to dla przystępujących do Norwida może on być niejasnym. Przyczyną tego, wydaje mi się, kryje się w tem, że N. stanowczo przekracza ramy poezyi: zadaniem jej bowiem rzucać intuicyjnie poznane prawdy — o uzasadnienie ich w poezyi nie powinno chodzić. Lecz na tem miejscu popełniłem wielki błąd, pragnąc określać formalne obowiązki poezyi. Wszakże już Nietzsche wprowadził w konsternację wszystkich uczonych tem, że nie wiedzieli, jak go określić, a nie chcieli znieść granic formalnych między filozofią a poezją. Co do Norwida, to u niego, podobnie jak u Nietzschego — gorące i silne uczucia z jednej strony, a z drugiej ścisła i sumienna myśl — złożyły się na całość duszy, która bardzo często przekraczała ramki utworu czysto-poetyckiego, i wchodziła w zakres *essai'u* filozoficznego, Norwid bodaj nigdy nie dał się opanować całkowicie uczuciu, on nie mógł by napisać ani *Farysa*, ani w Szwajcaryi. Zwłaszcza ze Słowackim stoją oni na przeciwnych biegunach poetyckiej twórczości, — ale podobny jest Norwid (jak to już zaznaczyłem) do Krasińskiego, który nawet w *Przedświcie* nie dał się całkowicie porwać uczuciu. Ale że i N. był zdolny do skrajnej prostoty uczuciowej — świadczy o tem wierszyk pisany przez niego z Ameryki:

I.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba  
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie  
Dla darów nieba...

Tęskno mi, panie!

II.

Do kraju tego, gdzie winą jest duża  
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,  
Bo wszystkim służą...

Tęskno mi, panie!

III.

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony,  
Są jak odwieczne Chrystusa wezwanie —  
Bądź pochwalony,

Tęskno mi, panie!

.....  
.....

Na koniec nasuwa się pytanie; — czy i jak można zestawieć i porównać Norwida z wieszczami? Otóż, przede wszystkim uderzająca różnica ta, że wieszczowie młodzi, gdy N. jest człowiek dojrzały. (Oczywiście mówię to w przenośni). Jeżeli bez Mickiewicza nie było by z nas nikogo — jak mówi Krasiński, to bez trójcy nie było by Norwida. Oczywiście, z tego nie wynika, aby N. nie miał być oryginalnym; jest on całkowicie oryginalny, a to chociażby z tego jasne, że u niego słowo a czyn było jedno, a nikt nie może w swoje życie wcielić słowa, które nie jest przepojone krwią własną. N. wobec wieszczów jest człowiekiem dojrzałym. Tamci rwą się i nas rwą poza sobą — ten każe żyć, czuć i cierpieć; tamci więcej odpowiadają duchowi naszemu obecnie, duchowi tęskniącemu i łaknącemu walki i burzy; — Norwid natomiast odpowiada stanowi skupienia i milczenia, moc którego silnie akcentuje. (>W samotności język staje się powoli monologiem, a monolog — dumaniem wewnętrznym, a dumanie wewnętrzne — modlitwą«).

Norwid jest pokarmem dla wiecznego człowieka. Jeżeli znaczenie trzech wieszczów dochodzi w pewnych



chwilach do szczytowych objawień — wpływ N. nie tak górny, ale stalszy; gdy Mesjaniczne utwory Krasińskiego w 63-cim były drugą Ewangelią i pobudką bojową, — po uzyskaniu zaś przez nas niepodległości, — staną się raczej pomnikami czasu, jak księgi proroków izraelskich. —

Norwid będzie i wtedy takim samym, chociaż dziś nie może być narówni z wieszczami stawiany. Norwid nie był działaczem społecznym i wodzem narodu — jakim był Mickiewicz; nie był pośrednikiem ze światem nadzmysłowym, jak Słowacki; nie był prorokiem, jak Krasiński. Norwid był przede wszystkim człowiekiem, a jako taki przedstawia harmonię i czystość dziwną, która nam każe go czcić i kochać. W utworach jego znajdujemy źródło mądrości życiowej, które nam tem więcej daje, że stwierdzone jest życiem poety, pełnem cierpień i nędzy zewnętrznej, okupionej niezwykle bogactwem i przeźroczyścią duchową.

Pomimo tylu rozczarowań, pisze: »serce o tyle jest sercem, o ile wierzy, że są serca. Do niego stosują się całkowicie słowa:

Miłości otchłań i twardość granitu  
By tobie były od szczytu do szczytu,  
Jako monument utwierdzony w wieczność, —  
Że kochać śmiałeś, wierzyć, konać — i tu  
Nie była twoją poezją — konieczność.

Norwida musimy uważać jako konieczne dopełnienie wieszczów, pogłębienie i ugruntowanie; niejako usyntetyzowanie tego, co nam wieszczowie dają. Do nas się on zwraca, gdy mówi:

A kto kiedyś me pieśni, rzucane z za świata  
I pobite, jak starych urn dzika mogiła —  
Złoży duchem — jedna z nich będzie, i skrzydlata.  
Cie nazywa się popiół, lecz zwie się — i siła.

\* \* \*

Wreszcie chciałbym dać pewien rysunek słowny (z portretów N. najlepszy pośmiertny portret wykonany przez F. Siedleckiego) — postaci Norwida; przytoczę więc słowa jednego z przyjaciół Norwidowych: »Znam trzy różne postacie N. W rozmowie — nawet przy pewnem zaniedbaniu

(pod koniec), około siebie — to najwykwintniejszy światowiec, tryskający dowcipem, znakomity w towarzystwie rozmówca. W zamyśleniu — wspaniały wygląd myśliciela, pięknem i głębią myśli ocieniona głowa. Raz spotkałem go na ulicy — i prawie nie poznałem: szedł szybko, wyglądał jakby śpieszył do chóru Derwida, tylko mu harfy brakło; broda rozwiana, wzrok w nieskończoność rzucony, albo w siebie; nikogo nie widział. Nie wiem, dokąd szedł, ani po co. Nigdy go takim nie widziałem, ani przed tem, ani potem.

A mnie, gdy myślę o Norwidzie, nasuwają się słowa bolesne a mocne, nie do siebie przez Norwida skierowane. («Garstka piasku»).

### X.

A ten cierpiał lat wiele za ojczyznę i jako obywatel: że bezczynny — i jako rycerz: iż zmieniony był pan-cerz jego na pokutnicy jakiś strój — i jak pan: że od włości oddalony — i jak ojciec, i jak brat, i jak wszelki człowiek społeczny.

### XI.

Ale właśnie dlatego trwał przy onej chorągwi niewidzialnej, która jest sumieniem dziejów — i dani mu byli brat za brata, siostra za siostrę, kiedy piękniał od długich bólów cichych, a oblicze jego zachodziło w apostolskiej pogody postać.

### XII.

Tedy nie pozostawił on dwuznacznego wspomnienia, które by drugich oszukało, bo był rycerz. Ani umarł, nie połączywszy rąk, które by mogła waśń rozerwać, iż był synem pokoju.

### XIII.

Oto raczej między umartemi niż szukaj go, ale tym co są żywi powiedz prawdę, a grób jego będzie im, jako słup graniczny onego to niewidzialnego miasta, którego charakterystyki ludzie strzegą.

Kraków 1908—1909.

*Stanisław Cywiński.*



## Najmilsza chwila.

Najmilszą mi  
 Zachodu chwila eicha  
 Gdy ziemi pierś  
 Ku słońcu tęsknie wzdycha,  
 Gdy ziół i traw  
 Najślodsze płyną wonie  
 Gdy nieba strop  
 Ostatnim blaskiem płonie...

Najmilszą mi  
 Ta chwila zachodowa,  
 Gdy słońce twarz  
 Promienną w zmierzchy chowa  
 Gdy w marzeń śnie  
 Spokojne stoją drzewa  
 Gdy fali plusk  
 Sze mrzącą bajkę śpiewa...

Najmilszą mi  
 Zachodu jest godzina  
 Gdy chybka myśl  
 Snów przedzę wić poczyna  
 I w taką dal  
 Na skrzydłach marzeń wzlata,  
 Że niczem jej  
 Granice gwiazd i świata!

*M. Z.*



## Vade mecum przyszłemu laureatowi.

Zwiedzenie katedry św. Pawła i Towru — to zadanie dnia dzisiejszego. Wsiadłszy z tuby w okolicy Banku i Gieldy (Bank-Station) znajdujemy się w samym sercu City, na placu, skąd rozechodzą się główne arterye ruchu londyńskiego; rzucamy okiem na stojący tu pomnik konny Wellingtona a potem kierujemy się koło Mansion-House, rezy-

dencyi lord-majora, przez Victoria-Street i Cannon-Street w stronę katedry św. Pawła.

Kościół chociaż położony na pewnem wzniesieniu i przy ogólnym rzucie oka na miasto dominuje, ukazuje się nam dopiero na zakręcie wspomnianej ulicy. Obchodzimy ogromną budowę, by stanąć przed jej frontem: fasadę renesansową o dwu rzędach kolumn korynckich wieńczy atyka z rzeźbą przedstawiającą nawrócenie św. Pawła, nad nią wznosi się między dwoma wieżami wspaniała kopuła: całość, chociaż mniejsza rozmiarami, przypomina mocno kościół św. Piotra w Rzymie: tu jak tam wskutek szlachetnej proporcji wymiarów budowa wydaje się mniejszą, niż jest w istocie.

Przed kościołem pomnik popularnej, zdaje się królowej Anny, której podobizny spotyka się w Londynie częściej, niż wizerunki lub pomniki »wielkiej« Elżbiety.

Po wspaniałych schodach wchodzimy do świątyni: ogólne wrażenie ogromu i świetności niezaprzeczone: wszystko lśni białością marmurów, złotem tłem barwnych mozaik zdobiących ściany i wewnątrz olbrzymiej kopuły; brak tu jednak tej patyny wieków, która dodają tyle powagi Westminsterowi. Katedra św. Pawła jest dziełem nowem. zaczęta z końcem wieku XVII, skończoną została dopiero przed kilku lat dziesiątkami. Grobowe pomniki, których szeregi mijamy idąc wzdłuż nawy głównej, mieszczą prochy wielkich mężów XIX stulecia i czynią ten kościół dalszym ciągiem Panteonu narodowego, jakim jest Westminster; lecz i tu także niewiele arcydzieł dłuta, do piękniejszych należą pomniki: malarza Leighona i poległego w Chartum w r. 1885 generała Gordona. Najpiękniejszymi uczciła wdzięczna Anglia, królowa mórz, zwycięskich swych admirałów Wellingtona († 1852) i Nelsona († 1805). Pomnik pierwszego, to na sarkofagu spoczywający brązowy posąg bohatera, pod kamiennym baldachimem, wsparty na 12 kolumnach korynckich. Pomnik Nelsona, to na wysokim cokole stojąca postać wodza, wykuta w białym marmurze. Rysami bardzo Kościuszkę przypominający, stoi wódz sławny, wsparty lewą ręką na kotwicy, udrapowany w płaszcz admiralski, zakrywający brak prawego ramienia, utraconego w bitwie pod Kadyks. U stóp jego cudny lew — na cokole wymowny na-

pis: Kopenhaga — Nil — Trafalgar! Zbliżamy się do prebiterium, do którego wiodą przepyszne wrota żelazne, podziwiamy wewnątrz prześlicznie rzeźbione dębowe stalle i u stóp ołtarza stojące artystyczne kandelabry. Wielki ołtarz marmurowy w stylu włoskiego renesansu, przedstawia w rzeźbie sceny z życia Chrystusa Pana, Matki Boskiej i Apostołów Piotra i Pawła. Zwiedziwszy katedrę, można wejść po 378 stopniach na galeryę, obiegającą kopułę z zewnątrz, i stamtąd jakby z lotu ptaka spojrzeć na Londyn, a następnie z galeryi wewnątrz kopuły umieszczonej, objąć okiem całe wnętrze świątyni. W braku czasu można jednak bez wielkiej szkody tej trudzącej wyprawy zaniechać. Radzilibyśmy raczej przysłuchać się koncertowi na wspaniałych organach, który się tu codziennie w pewnych oznaczonych godzinach odbywa.

Wyszedszy około południa z kościoła św. Pawła, znajdziemy się niebawem w istnym ścisku, w tej okolicy bowiem liczne eleganckie sklepy gromadzą przed wystawami swemi mnogo ciekawych; że jednak wystawy londyńskie nie oznaczają się jak paryskie wykwintnym smakiem w doborze i układzie towarów, wolimy więc obserwować publiczność. Typy przeważnie piękne, o smukłej postawie, czystych rysach, prawidłowym owalu twarzy. Mężczyźni przeważnie w »cylindrach«, ubrani bardzo starannie: każdy prawie ma u klapy surduta świeży kwiat zatknięty — jednak żaden nie robi wrażenia wymuskanego »goga«; postacie sportem wygimnastykowane tchną dzielnością i siłą, twarze spokojną energią. Kobiety nie grzeszą smakiem w stroju: lubują się w kolorach jasnych, nie zawsze szarmonizowanych, w świecidłach i błyskotkach: najrzadziej spotyka się na ulicach Londynu to, co u nas i gdzieindziej nosi miano angielskiego szyku.

Tu i owdzie zwróci naszą uwagę twarz murzynki lub lub mulata, Japończyka lub Indyanina. Mundurów widzi się w Londynie bardzo mało, najrzadziej żołnierzy czerwono ubranych, częściej listonoszów, nieletnich chłopców w oryginalnych mocno na bakier włożonych malutkich czapeczkach; czasem uśmiechamy się mimowolnie na widok poważnie kroczącego małego Etończyka w uroczystym czarnym

stroju, krótkiej do pasa kurteczce i błyszczącym »cylindrze«, z pod którego zabawnie wygląda różowy buziak chłopięcy.

Godzina pierwsza — apetyt zaostrzony ruchem, przypomina, że czas się posilić: musimy wstąpić do restauracyi na t. z. »lunch« (cz. löncz) stanowiący w Anglii posiłek południowy.

W Londynie, gdzie w śródmieściu nikt prawie nie mieszka, bo wszystkie budynki zajęte na banki, biura, kantory, mnóstwo osób musi jadać w południe za domem, nie brak więc instytucyj jadłodajnych: wprowadź kawiarni tu nie widać, cukierń mało i podobno liche, za to są t. z. »Tea-Rooms«, a z tych największą frekwencyą sfer średnich cieszy się przedsiębiorstwo pono akcyjne pod firmą »Lyons et Comp.« Firma ta ma restauracye na każdej ulicy śródmieścia. Gdzie ujrzysz ten napis — a daleko szukać go nie będziesz — wchodzi śmiało: lokal elegancki, usługa szybka i zręczna, służba napiwków nie bierze, gdyż należność uiszcza się przy kasie: potrawy ładnie podane, zachowanie się gości w najlepszym tonie: sala pełna a słychać tylko gwar dyskretny, Anglik bowiem nie jest gadatliwy a w miejscu publicznem, jak już wspomnieliśmy, zachowuje się idealnie. Wstępuje tu na śniadanie urzędnik, dziennikarz, kantorowicz, wstępuje studentka i nauczycielka, przychodzą całe rodziny bardzo przyzwoite i naturalnie przejezdni: to też słychać nierzadko obce języki.

Jadłospis zawiera we wszystkich »Lajonach«, jak je, przezwaliśmy, codziennie te same ciepłe potrawy w niewielkim wyborze, nadto zimne przekąski, ciastka, owoce, wyborne mleko i t. p.

Posiliwszy się i odpocząwszy idziemy na wschodni kraniec śródmieścia — »East-End« — by zobaczyć Tower, najstarszą rezydencyę angielskich królów, sięgającą czasów Wilhelma Zdobywcy. Królowie tu już oddawna nie mieszkają; Tower już za czasów Karola II. był więzieniem stanu, a dziś mieści koszary, zbrojownie i mieszkania licznych urzędników.

Zdale już widać wyniosły czerwony czworobok ponurego gmachu, najeżony czterema brzydkiemi narożnemi wieżami o białych czapkowatych kopułach, skąd zapewne nazwę »białej wieży« nosi. To najstarsza część Towru. Wokoło

tego jądra skupiony cały kompleks budynków, otoczony zębatymi murami i rowami. Od strony Tamizy założono rodzaj plantacyi, gdzie na ławkach rozsiadł się licznie londyński proletaryat, którego osławione dzielnice leżą w pobliżu.

Przyglądamy się ciekawie tym postaciom tworzącym jaskrawe przeciwieństwo do obserwowanego dopieroco strojnego tłumu w okolicy św. Pawła. Tam szlachetne twarze, spokojne, pewne siebie spojrzenia, postacie tchnące siłą i zdrowiem — tu twarze nędzarzy, odpychające wyrazem tępoty i upodlenia, obrzmiałe pijaństwem lub litość budzące śladami nurtującej choroby — kontrast rozdzierający, zbytku i nędzy, kultury i ciemnoty, wykwintu i wstrętnego brudu, tego wyrazu ostatecznego opuszczenia się...

Blyszczące jakieś zagadkowe spojrzenia śledzą cudzoziemca, którego Anglik każdej sfery społecznej rozpozna na pierwszy rzut oka.

Plantacyami owemi dochodzimy do t. z. »Bramy lwów«, przy której nabywa się bilety wstępu do skarbcza i do komnat Towru. Wprawdzie w dniu niektóre wstęp jest wolny, lepiej jednak dlo uniknięcia wielkiego ścisku z tego ułatwienia nie korzystać. Minąwszy bramę, spotykamy straż zamkową w paśowych kostyumach z czasów Elżbiety: są to t. z. »Yeomen of guards«, przenoszą nas w nastrój harmonizujący z otoczeniem prastarych murów. Jednego z tych strażników unieśmiertelnił malarz Millais portretem uchodzącym za arcydzieło.

Skarbiec mieści się w podziemiach jednej z wież Towru: w izbie sklepionej, zalanej potokami owiatła elektrycznego, iskrzą i migocą w witrynie środkowej, otoczonej misterną a mocną kratą żelazną bajeczne skarby: na wiśniowym aksamicie grają tęczą barw korony królów i dyademy królowych, jabłka i berła i miecze koronacyjne, lśnią szczerozłote zastawy stołowe i ogromne misy. Wszystkich oczy pociąga olbrzymi Koh-i-noor, największy pono dyament świata, dar Indyi, siejący oślepiające blaski, lecz... pozory ludzą: to tylko imitacya oryginału przechowanego w zamku Windsorskim.

Tower jednak nie tylko jest strażnikiem skarbów koronnych, był on świadkiem wielkich czynów i wielkich zbro-

dni: tu w r. 1215 ułożono »Magnum Chartam«, podstawę wolności angielskiej, tu mieszczą się w licznych salach trofea brytyjskich zwycięstw we wszystkich częściach świata, lecz tu także pokazują więzienia, których mury zdają się przesiąkłe łzami i dziedzińce, gdzie blade twarze kładły pod katowskie miecze: piękna Anna Boleyn, nieszczęśliwa Katarzyna Howard, młodziutka Joanna Grey, królowa dziesięciu dni, czcigodni biskupi i wykwintni księżęta; tu też oglądać można cmentarz tych ofiar, gdzie widma krwawe muszą się błąkać nocami.

Opuszczając te mury, ulgi doznajemy na myśl, że zamknęła się już na szczęście księga dziejów Towru, na której kartach tyle łez i krwi.

Znalazłszy się na wschodnim krańcu »City« w t. z. East-End, dzielnicy warstw ubogich w przeciwieństwie do arystokratycznego West-Endu, chcielibyśmy zwiedzić jedną z jej ulic — przynajmniej głośny White-chapel; osoby wiarygodne zapewniają nas, że dziś można tą ulicą chadać bezpiecznie o wszystkich porach dnia; ciekawość nas pociąga, przeczność powstrzymuje. Wreszcie wpadamy na pomysł w istocie bardzo prosty: wsiadamy na wierzch »autokaru« jadącego na White-chapel, zyskując w ten sposób wygodny a ze wszech miar bezpieczny punkt obserwacyjny. Wjeżdżając we wspomnianą ulicę, spodziewamy się ujrzeć coś nadzwyczajnego, tymczasem jedyną nadzwyczajnością jest bajeczny ruch i olbrzymia szerokość ulicy i trotoarów, oraz gęściej niż w mieście rozstawione posterunki policyjne. Ulica gęsto zabudowana dużymi kamienicami, czysta, sklepów mnóstwo, tylko wśród tłumu widać wielu biedaków, czasem w łachmanach wprost fantastycznych. Proletaryat, chociaż krąży tu tłumnie, mieszka chyba gdzieś dalej w bocznych wąskich zaułkach, w których mroczne głębie zapuszczamy wzrok z odrobiną trwożnej ciekawości.

Nie opuszczając wcale naszego »wysokiego stanowiska« wracamy w okolice Banku. Przekonaliśmy się naocznie, że White-chapel to dziś jedna z najważniejszych arterij ruchu londyńskiego, bardzo godna widzenia, chociaż wygląda inaczej, niż przed wielu jeszcze laty. Londyn zmienia się bowiem ciągle i rośnie bezprzestannie wraz z ułatwieniem komunikacji; dzielnice zmieniają charakter: rudery i lepianki



ustępują miejsca okazałym kamienicom; gdzie niedawno rozciągały się zielone łąki, dziś powstało całe morze nowych domów i domków, i niewiadomo, gdzie kres tego rozwoju miasta-olbrzyma i jaką doniosłość ten rozwój mieć będzie dla ukształtowania się stosunków w przyszłości.

Lecz Londyn jest nie tylko najludniejszym miastem świata, nie tylko stolicą starożytną potężnego państwa, jest on zarazem najbardziej handlowym portem Europy. Choć nie leży bezpośrednio nad morzem, lecz nad Tamizą w odległości kilkunastu mil od właściwego jej ujścia, to jednak do olbrzymich basenów sztucznie tu z wód Tamizy utworzonych, mogą wpływać największe okręty. Tu też znajdują się ogromne składy czyli doki, jedna z osobliwości Londynu. Dla zwiedzenia największych ze wszystkich, doków indyjskich, popłyniemy którego dnia statkiem w dół rzeki ze stacyi parowców koło mostu londyńskiego (London-Bridge). Ten największy z mostów tutejszych sam już jest godny widzenia. By dać wyobrażenie o jego rozmiarach i ogromie ruchu w tej stronie miasta, dość powiedzieć, że około 20.000 wozów i 100.000 ludzi przebywa go codziennie.

Płyniemy szeroką rzeką mijając na prawo i lewo liczne statki, wzdłuż niekończącego się szeregu wielkich czarnych okopconych budynków. Pod nami ciemna woda, w powietrzu czarniawa mgła dymów, prześwietlona bladem słońcem: na jej tle ładnie się rysują zdala kontury olbrzymich mostów. Za kwadrans wysiadamy.

Woda ogromnego basenu, pokryta okrętami stojącymi na kotwicy, wkoło nich krążą barki, szalupy i mniejsze parowce. Na brzegu wznoszą się ogromne magazyny chłonec bezustannie w swoje czarne czeluście moc beczek, pak, skrzyń i worów, dobywanych z wnętrza kadłubów okrętowych i podawanych olbrzymimi ramionami licznych żelaznych kranów. Tysiące robotników różnych ras i narodowości uwija się przy ładowaniu i wyładowywaniu towarów, pochodzących z wszystkich stref i krańców ziemi. Doznajemy wrażenia potężnego, czujemy pulsujące tętno świata, rozumiemy lepiej, jaką to spójnię międzynarodową tworzy wymiana wytwórczości krajów i narodów.

Krótkość czasu nie pozwala zwiedzić innych doków, n. p. doków Wiktoryi z najnowszemi urządzeniami technicz-

nemi do naprawy uszkodzonych okrętów — ani odbyć ładnej wycieczki całodniowej statkiem do Greenwich.

Musiny spieszyć dalej, bo chociaż zwiedziliśmy najznamienitsze budowle Londynu, nabyli wyobrażenia o olbrzymim ruchu na jego ulicach i placach, byliśmy w śródmieściu i na przedmieściach, w porcie i w parkach, to jeszcze wiele, bardzo wiele pozostaje do widzenia. Kilka dni dalszych, zajęłoby jeszcze zwiedzenie n. p. pałacu królewskiego (Buckingham-palace), starożytnego ratusza (Guildhall), a przede wszystkim choć jednej z niezrównanych instytucyj humanitarnych, służących tak skutecznie dobru publicznemu. Najwspanialszą z nich jest t. z. Pałac ludu w dzielnicy wschodniej, powstały przed dwudziestu mniej więcej laty, obejmujący wszystko, co posłużyć może do podniesienia intelektualnego i moralnego klas pracujących. Tu w wspaniałej ogromnej sali odbywają się wieczorami koncerty, tu mieści się biblioteka publiczna, czytelnie, ogród zimowy, sale gimnastyczne, szkoła żeglarska, pracownie techniczne i sale wykładowe, gdzie urządza się stałe kursa dzienne i wieczorne z różnych działów wiedzy, zwłaszcza technicznej.

Godną uwagi instytucją jest także Toynbee-Hall, budynek obejmujący nietylko sale przeznaczone na meetingi robotnicze i wykłady naukowe, ale także mieszkania dla 20 młodych ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem, poświęcających się badaniu położenia klas ubogich.

Do zwiedzania domów pracy, ochronek i szkół z jakim takim pożytkiem, potrzebaby przede wszystkim dostatecznej znajomości języka angielskiego; pobieżny rzut oka nie wystarczy, by zapoznać się z organizacją i działalnością tych instytucyj, więc zwrócimy się do tego, co Londyn ma najpiękniejszego i najwspanialszego, to jest do jego muzeów i galeryi. Wprawdzie tygodni, miesięcy nawet mało, by przestudyować chociaż jeden z działów tych przebogatych zbiorów w *British-Museum* lub *South-Kensington-Museum*. Cóż więc więc poradzić turyście, który się do Londynu na dni kilka wybiera?

• In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister. • Ograniczyć się zatem należy w wyborze, idąc za wskazówką indywidualnych uzdolnień i upodobań.

W miarę tego, czy nas pociąga więcej sztuka plastyczna,

czy zajmuje rozwój zdobnictwa, czy interesujemy się historią, etnografią, sposobem życia mnogich współmieszkańców naszego globu, poświęcimy więcej czasu jednemu z powyższych działów. Przejść pobieżnie w muzeach wszystkie sale, wszystko chcieć objąć okiem i pamięcią, byłoby bezowocnym trudem i przyprawiłoby jedynie o przykry zawrót głowy.

O bogactwie tych zbiorów trudno w krótkim szkicu dać należyte wyobrażenie: oto n. p. w Muzeum brytyjskiem znajdziemy moc zabytków historycznych i przedhistorycznych wszystkich czasów, od wykopalisk z Niniwy, od najstarszych pomników rzeźby greckiej z Małej Azji i Peloponezu, od portalu skarbcza Atreuszowego z Myceny i szczątków świątyni Dyany efezkiej — aż do najczystszych objawów piękna w rzeźbach Partenonu i w postaci dziewiczej, unoszącej strop Erechtejonu.

Tu śledzić można rozwój pojęć religijnych od czasów, gdy sądzono, że byt ducha, złączony nierozzerwalnie z istnieniem ciała, o czem świadczą setki mumij egipskich z rozmaitych epok, i także przedziwnie zasuszone głowy Polinezyjczyków oraz Indyan południowo-amerykańskich, jakby na dowód, że podobną fazę ewolucyjną przechodził duch ludzki na dwu przeciwległych krańcach ziemi. O wierze w demony szkodliwe mówią gemmy i amulety czarodziejskie z napisami i figurami gnostycznymi i bębny Szamanów sybirskich i japoński przyrząd do odpędzania 108 duchów, kuszących człowieka do grzechu! O krwawych obiatach, składanych potwornym bogom, świadczą w pęki powiązane czaszki ofiar ludzkich. Szczytniejsze pojęcia o Bóstwie uosabiają posągi Buddy o tajemniczym skupionym wyrazie twarzy, mówią o nich prześlicznie wykonane rękopisy koranu, oraz księgi święte Indów, dobyte z tajni prastarych świątyń — i nie można się oprzeć uczuciu, że profanujemy niejako spojrzeniem to, co dla milionów było świętem i nieetykalnem przez wieki.

W innych salach nagromadzono materyalne skarby bajecznej wartości w złocie i klejnotach: od masywnych złotych koron i naramienników afrykańskich Aszantów, aż do najwykwintniejszych wyrobów sztuki złotniczej florenckiego cinque-centa.

Któż wyliczy choćby pobieżnie nieprzebrane mnóstwo

wyrobów ceramicznych od najrzadszej różowej chińskiej porcelany, od cudnych waz etruskich i greckich, od majolik maurytańskich aż do artystycznych wyrobów słynnego Bernarda Palissy, lub Lucci della Robbia i angielskich fajansów Wedgewooda.

Kto opisze pokrótce zbiory monet, medali, gemm i kamiei, bronzów, nie mówiąc już o bibliotece — najbogatszej świata — mieszczącej najrzadsze rękopisy i wydania.

Salę poświęconę etnografii, dają obraz sposobu życia wszystkich ludów ziemi, ich wyglądu, zajęć, strojów, sprzętów, broni, mieszkań, poczynając od chaty prymitywnej Nowozelandczyka i od budowli na palach, aż do bajecznie pięknych świątyń i pałaców indyjskich Maharadzów, których całe rzeźbione cudnie frontony oglądać możemy w Muzeum Kensingtonskim. Patrząc na nie, zdaje się nam, że wyjdzie tuż z tajemniczych podwoi jakaś daleka księżniczka.

Tu zobaczymy, jak smak i zręczność wysilały się zawsze i wszędzie celem przyozdobienia ludzkiej postaci. O tem świadczą cudnie z barwnych piór tkane przepaski i z paciorków dziane płaszcze Indyan, i odzienia Eskimosów ze skórkowej mozaiki, i ciekawe przez Sven Hedina z jego słynnej wyprawy do Tybetu przywiezione ubiory tamtejszych góraili, bardzo przypominające strój huculski, i misterne zbroje japońskich samurajów, i złotolite szaty królewskie, obsypane drogimi kamieniami.

Szczególnie bogatym w okazy tkanin jest dział indyjski, mieszczący się w osobnym budynku, należącym do Muzeum Kensingtonskiego: tu ściany' zdobią najcudniejsze dywany i szale, za witrynami grają tysiącznemi barwami cenne tkaniny, zdobne przepysznyim misternym haftem lub malowaniem, jak n. p. wytworne w rysunku i kolorze jawańskie battik'i. W dziale japońskim trudno oczy oderwać od niezrównanych wykwintem, malowanych kakemono, w dziale chińskim od przedziwnych haftów; nie brak tu nawet szat z piór pawich lub lśniących skrzydeł owadów.

Muzeum Kensingtonskie nietylko zawiera niezliczone okazy sztuki stosowanej i dekoratywnej wszystkich ludów, galerię rzeźb i obrazów, w której znajdują się słynne kartony Rafaela do 7 gobelinów, wykonane na rozkaz Leona X, ogromną bibliotekę, szkołę sztuk pięknych, lecz także co-

rocznie rozpisuje konkursy na nowe pomysły w zakresie zdobnictwa a nagrodzone prace gromadzi nieustannie w t. z. Exhibitions-Galleries».

\* \* \*

Pozostają nam jeszcze galerye obrazów, liczące się do najbogatszych w świecie, zawierające szereg pierwszorzędnych arcydzieł wszystkich szkół malarskich. Są to, nie licząc pomniejszych: Galerya narodowa (National Gallery) na Trafalgar Square i obok niej pomieszczona Galerya portretów, oraz Galerya Tate (National Gallery of British Art) przy Grosvenor-Road nad Tamizą.

Ostrzegamy nowicyusza przed najgorszym sposobem zwiedzania galeryj, jakim jest spacerowanie od obrazu do obrazu i oglądanie każdego z wielką pilnością w kilku pierwszych salach, a potem, gdy czasu nie staje, przebieganie pędem sal innych z pominięciem nieraz największych arcydzieł.

I tu należy ułożyć sobie plan pewien, a więc wybrać szereg utworów najwybitniejszych przedstawicieli pewnych epok i tym poświęcić więcej czasu, więc n. p. w National Gallery przyjrzeć się w salach I, II, V, VI, VIII, sztuce włoskiej poświęconych, obrazom Botticellego, Andrzeja del Sarto, Fra Angelic'a, cudnemu »Złożeniu do grobu« Francii, kilku dziełom Rafaela, znakomitemu portretowi doży, Belinięgo. W salach IV i X poświęcić dłuższą chwilę dziełom Memlinga i van Eycka, Rembrandta i Rubensa, krajobrazom Ruysdaela i Hobbemy, przypatrzeć się w sali XIV obrazom największych przedstawicieli malarstwa hiszpańskiego: Murilla, Velasquez'a i Goyi, nie pominąć sali XV, gdzie się znajdzie Holbeina. Sala XVII mieści malarstwo francuskie, sale XVIII, XXI i XXII starsze i nowsze malarstwo angielskie. Z obrazami angielskimi trudno się spotkać w innych galeryach europejskich, dlatego na szczególną zasługują uwagę zwłaszcza sala XXII, zawierająca wyłącznie dzieła Turnera, którego Ruskin zalicza obok Michała Anioła do największych mistrzów w historii sztuki.

Galerya Tate zawiera wyłącznie obrazy malarzy angielskich. Sztuka narodowa, której arcydzieła tu nagromadzone ukazuje nam duszę anglo-saską ze strony zupeł-

nie niespodziewanej: naród, uchodzący za zimny, wyrachowany, żądny tylko zysku i złota, posiada sztukę wykwinłą, subtelną, czystą i nad wyraz idealną.

Malarstwo angielskie XVIII w. świetnie jest reprezentowane dziełami Hogartha Reynoldsa, Gainsborough'a Romney'a; pierwsza połowa wieku XIX dziełami Turnera i Landseera, niezrównanego malarza zwierząt. Przedstawicielami drugiej połowy XIX wieku są znakomici mistrze ze szkoły t. z. Prerafaelitów. Cechą ich w formie oryginalność i żywość barw, w treści wypowiedanie tęsknoty do nadziemskich światów piękna. Głębokiej i szlachetnej rozkoszy doznajemy, dając się unieść niewysłowionemu czarowi, wiejącemu z obrazów Millais'a, Rosetti'ego, Burne-Jones'a, Brown'a, Hunt'a, Watts'a, o którym mówi Muther: »Dla niego malować to samo, co miewać kazania, on nie maluje rzeczy, lecz idee. Nie sprzedawał obrazów, lecz przekazał je galerii »Tate«, aby działały na tysiące i zasiewały w ich serca wszystko, co szlachetne i dobre«.

Czyż może istnieć szczytniejsze pojęcie zadania sztuki i znaczenia jej dla ludzkości?

Nie mówimy już nawet o technice malarskiej dzieł tych niepospolitych, która jest tylko doskonałym środkiem wypowiedzenia szlachetnych idei w formie przejrzystych alegoryj, przemawiających do najlepszych pierwiastków ludzkiej duszy. Komuż z tych, co je oglądali, nie zostanie w pamięci n. p. Wattaśa postać »Bogacza«, pogrążonego w beznadziejnym smutku i niewysłowionym bezwładzie zniechęcenia, lub owa cudna »Nadzieja«, panująca światu, na globie unoszącym się wśród błękitów i grająca na złotych strunach pieśń wiecznej tęsknoty do ideału.

\*  
\*  
\*

W pobieżnym szkicu udzieliliśmy przysłemu laureatowi szeregu wskazówek praktycznych, wplecionych w snop wrażeń osobistych; temi wskazówkami ułatwić chcieliśmy orientowanie się w ogromie tych dzieł wspaniałych i instytucyj pożytecznych, które naród wielki stworzył potężnymi środkami w swej olbrzymiej stolicy. Wierzymy, że ten, co tak podniosłe pojmując ideał polskiego młodzieńca objawił gorącą, Boga, ludzkość i naród miłującą duszę, nietylko bystro

spostrzegać i sercem wrażliwym odczuwać będzie wszystko, co na obczyźnie ujrzy pięknego i szlachetnego, lecz wróciwszy z zapalem zabierze się do celowej pracy, dla urzeczywistnienia ideałów swoich, korzystając z porobionych na obcej ziemi spostrzeżeń, by drogą Ojczyznę, której jest tak gorąco a mądrze miłującym synem, według słów wieszczki pod każdym względem »podnieść i uszczęśliwić«.

*E. Mirohorska.*



## Geneza spisku podchorążych.

Dokończenie.

Główne punkty jego były następujące: Wyprawa na Belweder, rozbrojenie pułków rosyjskich, konsystujących w Warszawie oraz zdobycie arsenału. Hasłem do rozpoczęcia miało być zapalenie browaru na Solcu, pomysł niefortunny, jak później skutek okazał. Każdy ze spiskowych miał wyznaczony sobie zakres działania. Wysocki dowodzić miał szkołą podchorążych; na czele oddziału belwederskiego, złożonego z podchorążych, cywilnych i młodzieży akademickiej, stali: Trzaskowski, Nabelak i Goszczyński Ksawery Bronikowski, M. Mochnacki, Ludwik Żukowski i inni mieli się zająć poruszeniem ludności w starym mieście. — W. Książę tymczasem na mocy otrzymanej od cesarza władzy wydał już 29 listopada tajne rozkazy w celu aresztowania spiskowych. Wybuch rewolucyi przeszkodził jednak ich wykonaniu.\*)

W ten sposób zakończył się długoletni okres przygotowawczy i nastąpiła tak gorąco przez spiskowych upragniona chwila działania. Ciasne ramy, w których z konieczności spisek podchorążych obracać się musiał, nie pozwoliły mu na rozwinięcie szerszej akcji organizacyjnej.\*\*)

\*) Kajetan Koźmian: Pamiętniki tom III. Wspomnienia moje o rewolucyi 29 listopada 1830 r.

\*\*) Warszawa była od początku jedynym teatrem jego działań. Zaliwski w dziełku: »Rewolucya polska 1830 r.« podaje wprawdzie, iż wysłał w październiku kilkunastu oficerów spiskowych na Litwę, Wołyń i Podole, aby nawiązali stosunki w wojsku i wśród obywatelstwa

Niezdolni do objęcia kierunku powstania, nie byli podchorążowie powołani do odegrania ważnej roli historycznej. Pełni zapału i poświęcenia nie dość może rachowali się z realnymi warunkami, wśród których działać im przyszło — stąd ta nieogłędność, brak rozwagi i przezorności, które cechują spisek podchorążych w ciągu całego jego rozwoju. Hasłem spiskowych było: rozpocząć walkę o niepodległość, a potem zniknąć ze sceny, życiem własnem okupując tę chwilę zadośćuczynienia, za niedolę i prześladowanie całego narodu. Hasłu temu mimo intryg i rozdwojenia w związku, pozostali wierni aż do końca.

### Spis dzieł czytanych.

#### Źródła:

1. Wysocki Piotr: Wiadomość o tajnem towarzystwie zawiązanem w celu ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem oraz działania wojenne szkoły podchorążych piechoty w nocy z 29 na 30 listopada 1730 r. (Dodatek do Kurjera Warszawskiego 1830 roku Nr. 335).
2. Łaski Aleksander: 1) Uwagi nad początkiem rewolucyi polskiej. (Pamiętnik emigracyi polskiej cz. I.) 2) Szkoła podchorążych (Pamiętnik emigracyi cz. III.)
3. Sołtyk Roman: O związkach przedrewolucyjnych.
4. Generał Wybranowski: Pamiętniki.
5. Zaliwski Józef: Rewolucya polska 29 listopada 1630 r.
6. Koźuchowski Nemezy: O wpływie tajnej policji na wybuchnienie rowolucyi dnia 29 listopada. (Kronika emigracyi polskiej t. IV.)
7. Ze wspomnień Jana Bartkowskiego (Hirschberg: Zbiór pamiętników do historyi powstania polskiego 1830—1631 r.)
8. Wspomnienia ucznia uniwersytetu warszawskiego (tamże).
9. Nota poufna W. Księcia Konstantego przesłana cesarzowi Mikołajowi w połowie listopada 1830 r. (Czas 1872 r. Nr. 31).
10. Raport Komitetu do przejrzenia papierów tajnych ustanowionego.
11. Koźmian Kajetan: Pamiętniki, cz. III.
12. Koźmian Andrzej Edward: Pamiętniki.
13. Leon Dembowski: Moje wspomnienia.
14. Bronikowski Ksawery: Sprostowanie niektórych szczegółów tyczących się Klubu patryotycznego w Warszawie. (Kronika emigracyi polskiej, tom III.)

---

tamtejszego, lecz wiadomość ta nigdzie nie znajduje potwierdzenia. Znanе samochwalstwo autora nie pozwala jej uważać za prawdziwą, gdyby jednak nawet przypuścić, że podjęto jakąś akcyę w tym kierunku, to była ona zanadto spóźnioną, aby mieć jakieś znaczenie.



15. Karsnicki Karol: Wspomnienie o Piotrze Wysockim. (Kronika emigracyi polskiej, tom VI.)

Opracowania.

16. Barzykowski: »Historya powstania listopadowego 1830—1831«.  
 17. Mochnacki Maurycy: Powstanie narodu polskiego.  
 18. Lisicki: »Margrabia Aleksander Wielopolski«, tom IV.  
 19. Spazier: »Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes 1830-31«.  
 20. Schilder: 1) Imperator Aleksander I.  
 2) Imperator Mikołaj I.  
 21. »Cesarzewicz Konstantin Pawłowicz« (»Ruskaja Starina« 1900, t. I).  
 22. Hoffmann Karol: »Rzut oka na stan polityczny Królestwa Polskiego 1815—1830 r.«  
 23. Straszewicz: »Les Polonais et les Polonaises de la révolution du 29 novembre 1830«.  
 L. Świda-Z.



## Prorok tułacz.

### Pieśń wtóra.

Mówię do Was chociem młody, a siwizna nie przypró-  
 szyła mi skroni, alem przebył godziny tęsknoty i bez czynu,  
 bólu i rozpaczy, godziny długie, wlokące się i zdające nie  
 mieć końca już.

Alem przebył godziny tęsknoty..

Z oczu poczęło mi spadać bielmo ślepoty duchowej  
 i jałem się rozglądać po drodze, która przedemną jest.

A nie patrzałem poza się nigdy, bom czuł, iż jeśli raz  
 spojrzę na drogi przebyte, jako ci inni, zamienię się w solny  
 słup żony Lota i nie dojdę tam, gdzie dojść muszę...

Po drodze, którą szedłem, widziałem gromady całe  
 w odretwieniu stojące i patrzące w dal nieznaną, jakby za-  
 słuchane w grę skrzypek - marzeń - czarodziejek.

Wielu szło przedemną — ale, było ich stokroć mniej,  
 niż tych, co stali zasluchani, roztęsknieni, rozmarzeni.

Mówię do Was nie nowom słowem, bo to, co dziś za  
 nowe macie, było wczoraj, jeno nie wiedzieliście, że ono jest  
 i będzie tylko dziś jego inne imię.

Więc precz chwile tęsknoty, precz godziny bezczynu  
 i lata bólów i rozpaczy.

Pył, pył, wciąż jeno szary pył, od ziemi klepiska, po nieba strop, pył wciąż szary, zgnilizny pył.

Weźcie się za ramiona, podnosząc jedni drugich, tak, iżby ten co był na szczycie, ujrzał co się dalej dzieje i wrócił mówiąc o tem co widział i poprowadził was.

.....

A wczoraj wytykaliście tych, co jak koncha zamknęli się w swej muszli i żyli swoim życiem, i zwaliście je, samoluby — dawne i stare słowa, a dziś — apostołowie nowi powstają, co życie dziesiątek za karm mają i ścierają się wzajem i plwają i szydzą, odzierając ze szat — i nie wytkacie ich, — a jutro...

A wczoraj wołaliście jedni: »precz od nas sny i marzenia rozwlekłe godziny szukania swej drogi — dziś, i dziś wołają to samo, ale krom tych wołających, co idą w zgodzie ze słowem swoim, tysięczna część gromady towarzyszy jeno — a jutro — a jutro...

Dawne i stare słowa.

Szydycie i śmiejecie się z bajek naiwnych, które w dzieciństwa dniach, z bijącym sercem słuchaliście...

Tak, jeno to wczoraj było.

Dziś, — powiem wam baśń — nie baśń, ale tak, jak wyszedłszy w góry widzicie — dwa stada owiec pasących się zdala od siebie, do jednego pasterza należnych.

I pasą się od jutrzni, a gdy przyjdzie koniec dnia, gromada rozliczna, bez głosu trąby zejdzie do szałasu — a druga mimo barana-przewódcy, najtęższej głowy ze wszystkich, rozgubiona, nie przyjdzie, jeno pasterz musi iść i po jednej do zagrody znosić.

Bajka — nie — bajka to, było wczoraj i dziś jest.

Ale dziś chcecie pieśni, coby na waszej lutni z osobna każdemu grano, a tak mocnej, coby struny czucia popekały...

O wy, o wy mistrze drzemiące, albo ślepe, jakże mi was żal, stojących, zapatrzonych, zasluchanych, rozbolałych, roztęsknionych...

Jakże mi was żal, że z siebie nic nie mogę, nic nie mogę dać...


Jakże mi was żal...

Wy za mną w tyle, przedemną już wiele tułaczów dziś przeszło.

Ja idę.

Wczoraj potężne, wasze było wczoraj, dziś nie wiem czyje, jutro — jutro zaś tamtych pielgrzymów nielicznych, małych i cichych, a wiecznie buńczucznych.

*Aleksander Grzybowski.*



## W sprawie spornego artykułu „Z życia wśród młodzieży“

z d. 1 kwietnia b. r., nr 7 — *Lanu Młodzieży*.

Artykuł wiernem jest odbiciem przekonań pewnego odłamu młodzieży, i to zupełnie wybitnej, choć się z ideami nas starszych w kilku punktach zasadniczo różni. Nie razi nas jednak i nie straszy szczerłość, której brak, a nie objaw, uważalibyśmy za szkodliwy, jako usuwający możliwość rady, protestu i repliki.

Oczywiście będzie na to wszystko czas i miejsce sposobne. Poza tym względem, czysto przedmiotowej natury, jest zatarg podmiotowy, a mianowicie:

Referent wiecu czytelników gimnazjum św. Anny, pan Stanisław Sarnek, uczuł się dotkniętym wzmianką naszego sprawozdawcy, i zwrócił się do nas o stwierdzenie i rozpatrzenie zarzutów zawartych w słowach (l. c. str. 243):

„Zarzuty (przeciw Organizacji p. m. s. s.) zupełnie uzasadnione, jak przyznawali sami niektórzy członkowie wydziału głównego, były jednak wypowiedziane w formie poziomowi zebrania zupełnie nie odpowiadającej. Środki retoryczne, mogące zrobić wielkie wrażenie w ujeżdżalni, kultury duchowej bynajmniej nie szerzą i stanowczo wśród ludzi o pewnej kulturze umysłowej nie powinny być dopuszczane.

Nie przypisując sobie kompetencji rozstrzygnięcia, po której stronie słuszność, zaprosiliśmy do naszej redakcji referenta i autora sprawozdawczego artykułu, każdego ze sztabem swoich mężów zaufania.

Sprawa była jeszcze raz gruntownie zbadaną i roz-

strzygniętą po dłuższych kolejnych wywodach panów: Sarnka Hełczyńskiego, Sobonia, Kazimierza Borelowskiego, Barana, Fallka, Łyżwińskiego i Goldberga.

Referent wiecu, p. Sarnek, motywował energiczne zwroty swego przemówienia ważnością chwili, którą musiał wyzyskać dla dobra Organizacyi, i przemawiał językiem, który według niego największe mógł zrobić wrażenie. Kulturę zaś, rozumie pan Sarnek, jako bojowanie dla coraz to szerszych kręgów postępu: przeciwnie bezruch, lub czeze formy zewnętrznych manifestacyi, uważa właśnie za dowód zastoju i braku jej.

P. Hełczyński podtrzymuje swe zarzuty sądząc, że skutek byłby o wiele pewniejszy, gdyby referent uniknął był agresywnych niektórych epitetów, a kulturę rozumie właśnie jako zmodyfikowanie obecnych form polemiki i ogładę nawet w sposobie ścierania się zdań.

Koledzy i stronnicy p. S. i H. upatrywali różnicy ich w samych temperamentach dwu przeciwników, z których jeden jest refleksyjny, drugi impulsyjny.

Z redakcyi starszych zwrócono uwagę na niemożliwość ścisłego określenia kultury, która dla jednych będzie w istocie pochodem bezwzględnie druzgocącym przeszkody, dla drugich wzrostem dzieł pokoju w duchu miłości. Na to ostatnie określenie wskazywałoby samo pochodzenie wyrazu: cultus, cześć, pielęgnowanie.

Starsza redakcyja nie może mieć za złe swemu sprawozdawcy, że w imię tak pojętej kultury, stawia wysokie żądania nawet od młodzieży gimnazyalnej, która kiedyś zwyczaje bezwzględności słowa gotowa przenieść na szersze emporyum parlamentów. Przedewszystkiem w stosunku do pana Sarnka mamy prawo przymierzać nie krawca, ale miarę Fidyasza. Jako okoliczności łagodzące uznaje Redakcyja »Ł. Mł.«, że w chwili, gdy się łamała myśl młodzieży w sprawie dla niej tak ważnej, jaką jest Organizacyja, referent, uniesiony odpowiedzialnością chwili, wyrzekł słowa dosadne, które się spotyka u mówców nawet klasycznych. Przypomniano między innymi cytaty biblii i jej komentarz Bossueta, wobec najwięcej kulturalnego wówczas dworu wersalskiego i Ludwika XIV. (»wracacie do grzechu, jak pies do zrzuconego raz pokarmu«) itd. W końcu Redakcyja

wzywa obu oponentów, aby nie dali unieść się osobistym urazom, co byłoby niegodnem dla rodzaju ich umysłowości, odwróceniem wspólnej energii od istotnego celu pracy każdego Polaka, i zachęca, aby zgodzili się na tym punkcie, który ich nigdy dzielić nie powinien, t. j. jedności i ideału, wobec różnych ku niemu dróg.

Po zapewnieniu rzetelnego szacunku dla kolegi Sarnka, p. Hełczyński dał wyraz, że sądu swego nie uogólniał a do osoby jego nigdy go w swem sumieniu nie odnosił, ale ograniczył go do kilku raz wyrzeczonych słów.

Pan Sarnek przyjął słowa kolegi Hełczyńskiego jako zupełną satysfakcyę.

Po przyjaznem załatwieniu sprawy, poufne colloquium charitativum przeciągnęło się w serdecznym nastroju, a wszyscy uczestniczący zachowują mu na długo dobre wspomnienie jedności i obopólnej dobrej woli.



## Dwie wystawy sztuk pięknych.

Włodzimierz Błocki jest ogromnie zręczny, w pochwyceniu zasadniczej dla artysty chwili, kiedy natura i sztuka — jedno są. Okiść (9) Zmrok (7) mają taką wiotkość jak sam promień gasnący, jak sam kryształ śnieżny, który sobie tylko mimochodem gałęź zadzierżawił, bo każdy przecież wie, że to tylko dekoracya jednodniowa.

Morze jest przedziwnie wymowne, a głównie tem, że między artystą a falą, stanął widz, zadumany, zapatrzony, ot, taki żyjący słup-przewodnik, który i sam odbiera wrażenia i nam ich udziela w mało co zmniejszonej sile. Za to widoki słonecznej Italii dziwnie bure i robione jakby przez tęsknotę za północą. (1, 5). Arno (17) jako akwaforta mniej naraża artystę na zarzut monochromii umyślnej a przykuwa oczy grupą drzew jak harfą wiatrów na dalekim widnokręgu. Drobiazg ten, przywodzi wrażenie większego płótna amerykańskiego pejzażysty Homera Martin »The harp of winds« i to nietylko tematem, ale tak rzadkiemu u artystów podporządkowaniu rzeczy jakimi nie są, temu

czem one są. Jestto jakby umiejętność „wyłączania” chwyt mistrzowski za to, co istotne, a co właśnie przyznano Martinowi w słowach: „transfusing realism with imaginative art”. (przepojenie realizmu kunsztem wyobraźni).

Za takiego twórcę, bez którego ani ten Dunajec, (22, 24) ani ten śnieg (23) nie byłby tym samym śniegiem i tym samym Dunajcem, uważam Broszkiewicza, obok Czajkowskiego też indywidualisty pełnego treści oko w oko z obojętną dla jednostki i nie dbającą o nic i o nikogo panią przyrodą.

Martwą naturę, (27) stanowi kilka figur z ogródka wiejskiego i gałęź więdnących róż herbacianych; te artysta dorzucił dla nas, ludzi mniej naiwnych i tępszych dla tej kategorii wrażeń, jakie te bohomyzy do dziś dnia budzą w naturach prostych, a i wykwintnych, jak autor widzi, skoro to od nich właśnie pochodzi wiązka róż i cierni.

Sądzę, że ten punkt spotkania jest jednym z pewnych rendez-vous świata. Ból — ciernie i kwiaty — piękno. Dlatego wolę ten cudaczny obraz Czajkowskiego od naprawdę już martwych natur i wewnątrz Grotta, (32, 32, 33, 193).

Fijolki, klasztory, kryształ wazonów i bronz setletnich ozdób. i świeżość dzisiejszego owocu, to modele tak cierpliwe, że wywołują niejako zamilowanie, coraz to wypuklejszej rzeźby.

Jeżeli drobne rzeczy pani Krzeszowej dają kobiece wykończenie szczegółu, ale i beztytułowość rzeczy sto razy widzianych, to znów wszystkie martwe natury minionej wystawy, zniechęcają pobieżnem „aby zbyć” odtworzeniem gratów, jak kto chce, ale przecież te graty są dla zbieracza tem, czem piękna modelka dla Żmurki, technika karnacyi, czem dla Fałata las, czem połysk jedwabiu dla Mehofera, przeźrocze źrenic głów Wyspiańskiego itd. itd.

Malarz tworzy dla nas. Cieszymy się Filistyni i Filistrzy! Inaczej dzieci swych pędzli, nie narażałby na profanację naszego spojrzenia. Od chwili kiedy artysta zawiesza dzieła poza swoją pracownią, temsamem daje nam prawo głosu, czy ich przypadkiem nie rozwiesi „dużo za dużo!”

Markowicz wystawił 44 pastele i 6 olejnych obrazów, okrągło pół setki. To znaczy, że artyście tymi czasy już niewiele zostało studyów niewydobytych z teczki. Szkoda.

Byłoby to doskonałe schowanie dla Jesieni (94), Krynicy (96), przede wszystkim dla Ghetta (122) i kilku innych ćwiczeń malarskich. Poza tą uwagą witamy z całym zadowoleniem: Mosty podgórskie (106, 114, 117) o wiele mniej nam znane od weneckiego mostu westehnień, mostów nadsekwańskich i nad Tybrem.

Okupuje znów jakością ilość, bardzo domyślnie odczutyh głów Talmudystów (86—92) starców i staruszek z przytułku; oczy zmięte, zużyte do ściegna łagodniejszą, do broduszniej pod pędzlem Markowicza, na kilka chwil bo-  
daj, przed ostatnią uroczystą chwilą wiecznej beztroski.

Świat Talmudu, tak bliski, jest dla nas obecny i odległy jak żaden.

Studia Markowicza są więc dla nas informacjami nawet bardzo wdzięcznymi jak np. Siostra miłosierdzia, oczywiście izraelska (123, 83). Młoda kobieta, dąży zaułkiem z notatką, pewnie biednych do odwiedzenia, może po kwiaty dla chorych... może ze słowem żywym dla uzdrowieńców ślaniających się w nudzie długich godzin szpitalnych.

Prócz dwu Gewontów (130—2) i Starej chaty (143) szczerze i pięknie pomyślanych i zrobionych, radziłbym tę samą wstrzeźliwość w wystawieniu reszty pannie Maryi Płonowskiej. Gdyby 33 próby olejne, rysunki pastele zmniejszyć o  $\frac{2}{3}$ , reszta byłaby jeszcze za wiele wydatną, ale potoki i burze Kasie i Marynki zyskałyby może w stosunku kwadratowym ich obecnej wartości. Przede wszystkim pocieszyłby się karnawałowy nos góralki (146) wymodelowany jak trąbka, źle dostającej maski.

Gdyby fałszywe pociągnięcia pędzlem mogły szczęśliwym niepodobieństwem wydawać głosy jak struny rozstrojonych narzędzi akustycznych — malarze byłiby mniej ryzykowni. Rosenblum robiłby więcej rzeczy podobnych do Zimowego południa (166) a wąpiłby o poezji fioletowej waryacyi optycznej, na temat mroków w okolicy Sekwany i katedry Notre-Dame. We wnętrzu (169) rozpoznalibyśmy na pierwszy rzut oka, czy to na fotelu leży pies czy kape-lusz, Samlickiego pejzaże (172—180) powiedziałyby nam »Chodź i patrz«. P. Komorowska nie wprawiałaby nas w podziw, że to nawet w Dębnikach można tyle brzydoty nabierać do studyów zawczesnych na chłodny maj talen-

tów jeszcze nieuprawnych; a p. Łada wyrobiłaby sobie taką technikę, żeby się bez protestu także i z blizka można patrzyć na jej portrety (67—70) dopiero z przeciwnego końca sali, przedziwnie plastyczne i wprost zdumiewające rzeźbą sprawnej kredki.

Stary grajek, (196) Merkla, rzewnie rozegrany ale z blizka, *pianissimo*, otrzymałby jakiś energiczniejszy rys, któryby mu nawet i z odległości zapewnił ginący wyraz.

6. Tak, wszystko to, mogłoby do nas przemówić nieomylnym zespołem, jak matematycznie obliczona ilość drgnień niezbędnych do harmonii dźwięków akustycznych. A tak... bez cyzelowania a chociażby obrobienia swych projektów, malarze galopują ku sławie na dziesiątkach arcydzieł... przyszłości, która bez troski o doskonałość dnia dzisiejszego — niczem jest.

A Zero? Jak się wyraził jego prezes p. Wojciech Kossak, jest skończoną w sobie geometryczną całością, zdolną roztaczać coraz to szersze koncentryczne koła.

Otóż jest to złe i dobre.

Złe, gdy n. p. przez wspaniałe kręgi myśli malarskiej takiego technika jak Malczewski, sięga błędnego koła wizyi, nie zawsze estetycznych (45), gdzie siłę wrażenia autor na echnary oblicza.

Kossak jest na wakacyach w Zerze; tym razem dał szereg dobrych okolicznościowych portretów (16—23), zanim się zabierze do dzieł prawdziwych: utrwalenie epok naszymu sercu drogich; Trębacz i kowalowa jako i inne dziarskie pary ułanów na pikiecie, obracałyby się za długo »w tym skończonym kole« jednakiem pomysłów.

Vlastimil Hofman ma je bardzo jednostronne także: przyroda a człowiek; są rzewne i wdzięczne o ile nie żądamy elastyczności żywego i jędrnego mięśnia.

Karpińskiego stara gwardya (11) powinna iść do Paryża, gdzie jeden z ministrów urządza wystawę poświęconą litości właśnie tej gwardyi występku.

Tetmajer, jak zawsze »w kole« swych natchnień sielskich (62—69) tem lepiej dla nas. Ktoby jak on dał nam piastów, ruń, Raclawice jak są, jak być musiały... Dzieli się z nami, ludźmi fraków, dywanowych klombów, perfum i modnych szat nawet w postaciowaniu Białej Damy (14). Nie



skarżymy się też. Bo choć pan Kazimirowski w otoczeniu z przed wieków stawia osobę o intenzywnym wyrazie mózgowców dzisiejszych, to jednak rozumiemy jego poetyczną wizję.

Z trochę szczegółów mniej, z kiku rysami więcej subtelnej sztuki doboru, Pochwalskiemu n. p. bardzo znajomej, z Białej Damy utworzyłby autor »Naczynie duchowne«, nad którym chętnie zatoczylibyśmy tak ulubione Zeru mistyczne koło nimbu.

Na bankiecie w dniu otwarcia Zera p. Kowalski wznosił zdrowie kolegów nieprzychylnych. Wielka słuszność! Niech żyją wszystkie wysiłki piękna, choćby jak Aurora (2) Gawińskiego, obmywały się w hydropatycznie trochę wyglądającym deszczu promieni — sławy. Wiszor.



### Ze sportu.

Na Zielone Świąta sprowadziła sekcya sportowa klub »Czarnych« ze Lwowa, aby zmierzył się z »Wisłą« i »Cracovią«. »Czarni« odbyli w ostatnich czasach wycieczkę sportową do Czech i rozegrali tam 6 matchów, które przyniosły im wprawdzie same klęski, ale zarazem pozwoliły poznać prawdziwie europejską grę i dostarczyły doskonałego treningu. Szczególnie ważną była gra ze »Slavią« I, najlepszą drużyną na kontynencie, gra, która dała rezultat 10:1. Po powrocie z Pragi grali »Czarni« jeszcze we Lwowie z »Pogonią« I, i tu jednak ponieśli klęskę w stosunku 4:1. Wobec tego walka z »Czarnymi« była dla klubów krakowskich bardzo ważną; była ona bowiem zarazem zmierzeniem się »Wisły« i »Cracovii« między sobą i z wszystkimi drużynami, z jakimi lwowiacy w ostatnich czasach walczyli. Naturalnie, że wszelkie porównania dadzą się robić tutaj tylko przypuszczalnie, a ni. na pewne, głównie dlatego, że powodzenie jakiegoś klubu w walce zależy w wybitnym stopniu od usposobienia i nastroju grających.

Rzecz ta dała się właśnie doskonale zaobserwować na ostatnich matchach. W niedzielę dnia 30 maja grała z »Czarnymi« »Wisła«. Na początku gry dała się zauważyć silna prze

waga »Wisły«; pomimo, że przeciwnicy w wysokim stopniu przewyższali ją zgraniem i kombinacjami, jakie w wspaniałym sposobie przeprowadzali, zdołała ona nie tylko ustrzedz się od klęski, ale zyskała nawet dwa plusy, wjeżdżając prawie z piłką do bramki przeciwników. W tym stosunku utrzymała się gra, aż do pauzy. Odtąd jednak nastąpiła kompletna zmiana; walka poczęła iść w szalonym tempie i przynosić zwycięstwa »Czarnym«. Wkrótce odbili oni swoje dwa minusy, pięknymi wysokimi rzutami, niemal ze środka boiska. Trzecią bramkę zrobioną przez rozgniewaną już nieco »Wisłę«, odbili natychmiast. »Czerwoni« skupili się tedy w sobie, uzyskali czwarty punkt i starali się usilnie o piąty, nieszczęście jednak chciało, że nietylko go nie dostali, ale nawet przewagę swoją stracili, tak, że match został nierozegranym w stosunku 4:4. Walka była niezmiernie zajmującą, żywą i gorącą, jak może nigdy w Krakowie.

Wobec takiego rezultatu ogół zajmujących się footballiem, spodziewał się, że »Cracovia«, pobita niedawno przez »Wisłę« poniesie również klęskę i od »Czarnych«. Tymczasem stało się wprost przeciwnie: »Czerwono-biali« w znakomitem będąc usposobieniu, odnieśli świetne zwycięstwo, bijąc »Lwowiaków« w stosunku 5:0. Walka toczyła się z niemniejszym zacięciem i werwą, jak w niedzielę, i obfitowała w wiele niezwykle ciekawych momentów. Od początku gry dała się widzieć przewaga »Cracovii«; po zrobieniu pierwszej bramki, poczęła przeć ona z taką siłą i walczyć z taką energią i zaufaniem w swoje siły, że »Czarni« byli zmuszeni ograniczyć się prawie tylko do obrony swojej bramki; rzadko przeprowadzane przez nich ataki, kończyły się zawsze chybnym rzutem. Do pauzy zrobiła »Cracovia« trzy bramki, czem tak rozjątrzyła »Czarnych«, że z błahego nawet powodu omal nie przyszło do kompletnego zerwania matchu; szczęściem skończyło się na krótkiej tylko przerwie. Po pauzie odnosiła »Cracovia« dalsze zwycięstwa; uzyskała bowiem jeszcze dwie bramki; jedną z nich zrobiono wspaniale, odbijając głową niezwykle udatny rzut z rogu. Pod koniec gry osłabli już nieco »Czerwono-biali« i poruszali się z silnym wysiłkiem. W każdym razie zwycięstwo ich było olbrzymie i niespodziewane, to też spotkały ich radosne owacje, będące znakiem, że tem

jednym powodzeniem odzyskali reputację i sympatyę tłumu. W świecie sportowym natomiast zmyli hańbę nieszczęsnej pamięci matchu z dnia 20 maja i odebrali zajmowane dawniej stanowisko najlepszej drużyny w Krakowie, a może i w Galicyi.

K. B.

(*J. St.*) W niedzielę dnia 13 b. m. odbyły się na krakowskich Błoniach zawody między lwowskim klubem futbolu »Pogoń I.« a naszą »Cracovią«. Rozpoczęcie match'u poprzedziła gwałtowna ulewa połączona z gradem, która uszkodziła znacznie znośny teren boiska i zamieniła w kałużę dżdżu i błota. Mimo tak niepomysłnych warunków rozpoczęto grę pełną interesujących momentów i zmiennych, często zabawnych sytuacji, jakie wywoływały ustawiczne potknięcia się i upadki na rozmokłej ziemi. Match, który miał być rewanżem dla Cracovii, pobitej we Lwowie w dniu 2 maja b. r. nie mógł więc zezwolić widzowi na wytworzenie jednolitego wrażenia stałej przewagi którejkolwiek ze stron i dlatego nie może być taką miarą zręczności i siły, jaką byłby, gdyby grę prowadzono wśród normalnych warunków. W rezultacie wynik pozostał nierozstrzygnięty (2:2). Z gości lwowskich odznaczyli się pp. Bedlewicz, Sykała i inni, z Cracowii pp. Pollak (p. Calder nie brał udziału w grze), Żabża i Rysiak.

W najbliższym czasie mają się odbyć zawody z berneńską i koszycką drużyną.



## Z życia młodzieży.

### Młodzież wobec jubileuszu prof. Tarnowskiego.

Dla uzupełnienia opisu obchodu na cześć prof. Tarnowskiego, podanego w poprzednim numerze, musimy dodać, że wzięła w nim udział również młodzież szkół średnich. Zebrawszy się pod pomnikiem Rejtana, udała się ona przy dźwiękach orkiestr w szeregach pod dom jubilata. Skoro ten ukazał się na balkonie, przemówił do niego naczelnik O. P. M. S. Ś. kol. Datoń, uzasadniając hołd młodzieży wielkimi zasługami jubilata. Hr. Tarnowski podziękował serdecznie za tę miłą mu niespodziankę. Obok tego nadesłał pisemne podziękowania do dy-

rekyi, które zakomunikowały je uczestnikom pochodu za pomocą kurend i zaprosił przodowników organizacyi na raut, jaki się odbył w następnym dniu. Podczas rautu przygrywała orkiestra gimn. św. Jacka. Wykonano utwory Moniuszki, Langerera, Rossiniego *Cuius animam* gorąco oklaskiwano produkcye solowe: Rubinsteina, Azra (solo na flügelhornie — kol. J. Cudek) i Schuberta, *Nad morzem* (solo na euphonium) kol. Jan Korpak.

*J. St.*

---

### Ankieta w sprawie Organizacyi.

Ze względu na uporczywy brak miejsca, musimy odłożyć sprawozdanie z odpowiedzi na ankietę do września, zwłaszcza że nadeszło kilka dłuższych prac, roztrząsających tak ważną dla nas kwestyę z odrębnych kątów widzenia.

Kraków, gimn. III.

---

### Zestawienie działalności.

Czytelnia, najstarsza tego rodzaju instytucya w Krakowie, rozwija się dobrze, choć w roku tym nie było niczego dla Czytelni bardzo ważnego, wyjąwszy może zmianę ustroju (z ochlokracyi na oligarchię), która to zmiana jest dla Czytelni bardzo korzystna. Z początku roku zapomniana, na zimę znów odżyła; świadectwem tej żywotności jest przede wszystkim ruch odczytowy. Sekcyja odczytowa rozwinęła gorliwą działalność, staraniem jej wygłoszono odczyty z obrazami świetlnymi w rocznice narodowe (na każdym odczycie obecnych koło 100 kolegów). Również staraniem tejże Sekcyi zaczęły pracę Koła naukowe: historyczne, funkcyonujące bardzo dobrze, w drugim półroczu osłabło, samokształcenia, powstałe w 2-gim półroczu, rozwija się do dziś dnia bardzo dobrze, słabo natomiast pracuje Koło literackie i przyrodnicze. Oprócz tego istnieje Koło fotograficzne »Fos«, które z nadejściem wiosny odżyło, tudzież dramatyczne. Co się tyczy ogólnego charakteru gimnazyum, to jest on więcej narodowy, niż w zeszłym roku. Czytelnia również nabrała nieco charakteru narodowego. Ale cóż robić, gdy wielu nie chce lub nie może nas rozumieć, wielu nam szkodzi.

Z kolei przechodzę do wieczorków. Pierwszy wieczorek, ku czci trzech wieszczów, w listopadzie, wypadł bardzo

dobrze. (Grano »Pana Beneta« Fredry, ze znakomicie oddaną rolą tytułową). Drugi papieski, dobry, może tylko dostateczny, trzeci cesarski i czwarty ku czci Juliusza Słowackiego w Starym Teatrze, który wypadł znakomicie, szkoda tylko, że deklamacye zbiorowe wypadły gorzej.

Oprócz wieczorków obchodziliśmy jubileusz Rady i Dyrektora Sołtysika oraz rocznicę Anczycowską. Na przedstawieniach staraniem Koła dramatycznego można się serdecznie uśmieć i ubawić.

B.

### Dar Grunwaldzki.

Niemcy prowadzą wytrwale i systematycznie pracę germanizacyjną na kresach wschodnich. Zbyt znane są zamachy Niemców na polskość w zaborze pruskim, mówić o nich nie będę, również o działalności towarzystw hakatystycznych w Królestwie Polskiem. Przejdę do zaboru austriackiego. Ktokolwiek zna Śląsk austriacki, przyzna, że trudniej sobie wyobrazić zaciętszą walkę zaborczą. My na zamachy te odpowiedzieć musimy. Przed rokiem rzucił hakatysta śląski Rohrman na szkoły niemieckie na Śląsku 300.000; dzisiaj nowy zamach: jeden z najpopularniejszych pisarzy niemieckich Piotr Rosseger wzywa do subskrypcyi na sumę 2 milionową, a w najnowszych czasach niemiecki minister-rodak na zjeździe »Schulvereinu« w Białej — a więc w Galicyi — powtarza to samo. Brońmy więc naszych zachodnich kresów wytrwale i stanowczo.

\* \* \*

I młodzież krakowska opodatkuje się na rzecz »Daru Grunwaldzkiego«, bo walka wre na życie i śmierć. Jeżeli się nie obronimy, zginiemy, jak zginęli Słowianie, którzy niegdyś aż do Łaby mieli swe siedziby — a dziś na ich cmentarzyskach i kurhanach słyhać »Wacht am Rhein«.

\* \* \*

»Dar Grunwaldzki« młodzieży. Na jednym z ostatnich posiedzeń »Rady Głównej« organizacyi uchwalono na wniosek kol. St. W. i B. R. zająć się wśród mło-

dzieży zbieraniem składek na »Dar Grunwaldzki« za pomocą cegiełek sprzedawanych pojedynczo w cenie 4 i 10 hal.

## Nasze pisma.

Studentská Hlídka, I. 5. List katol. studentstva českoslovanského.

Przedewszystkiem zwrócić uwagę musimy na dwa artykuły ideowe, dr. Vinarza »Doma czy do ciziny« i Václava Poledneho »Studentska episztoly«, tembardziej, że można je w zupełności do nas odnieść. Czesi germanizują się tysiącami — najlepszy przykład to Wiedeń, — również najzdolniejsi ludzie pracują dla państwa, zapominają o narodzie. Zjawisko to znamy, — dość przypomnieć widmo zgermanizowania ducha w Poznańskim — gwałtowny zanik tak licznej niegdyś ludności polskiej w Paryżu, wreszcie emigracyę w Stanach Zjednoczonych; a iluż to ludzi wysoce zdolnych i dzielnych, którzyby nam mogli oddać nieocenione usługi, pracuje w gabinecie austriackim? iluż to Polaków zajmuje wysokie stanowiska we Wiedniu, zapominając zupełnie o kraju? Drugi artykuł »Studentske episztoly« zawiera również wiele ciekawych i trafnych myśli. Autor, zaczynając dłuższy artykuł o zadaniach studenta, przedewszystkiem analizuje pojęcie inteligencji, rozróżniając czynną i bierną. Inteligencya bierna jest dla społeczeństwa szkodliwa; ideałem człowieka powinno być wyrobienie inteligencji czynnej i indywidualnej. Zaznaczyć jeszcze należy artykuł St. Żaluskiego »K pomerum polsko-ruskym«.

B.

## Konkurs miesięcznika „The studio“.

### A. Sztuka stosowana.

1. Szkice na mały witraż. Przedmiot ma być wzięty z Tennysona »Idylle króla« a rysunek ma być wykonany akwarelą. I. nagroda: 3 gwinee, II. nagroda: 2 gwinee. Termin: 1 sierpnia 1909 r.

2. Rysunek na kartkę reklamową czekolady. Nagroda 5 gwinei za najlepszy rysunek nadający się do reprodukcji jako kartka reklamująca czekoladę. Styl i kompozycja pozostawione są wolnemu wyborowi autorów, przedmiot ma odpowiadać następującym warunkom: 1) musi się nadawać do efektownej reprodukcji litograficznej nie więcej niż siedmiu kolorami; 2) nie może przekraczać wielkości 22 + 16 cali, lecz może być mniejszy stosownie do woli autora; 3) kartka ma reklamować »Cole's Assorted Chocolates«. Rysunki będą sądzone przez zastępcę panów Packer & Co z Bristolu, w porozumieniu z wydawcą »The Studio« i rysunek, któremu będzie przyznana nagroda, stanie się wyłączną własnością panów Packer & Co, którzy również zastrzegają sobie prawo zakupienia każdego innego nadesłanego rysunku za cenę 3 gwinei. Termin: 1 lipca 1909 r.

### B. Malarstwo.

1. Ilustracja piórkiem. Przedmiot ma być wzięty z dzieła »David Copperfield« Karola Dickensa. Rysunek nie może przekraczać wielkości 12 + 9 cali. I. nagroda: 2 gwinee, II. nagroda 1 gwinea. Termin: 1 sierpnia 1909 r.

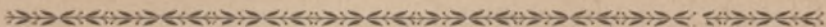
2. Jednobarwny rysunek tuszem. Krajobraz.

### C. Fotografia z natury.

1. Krajobraz sielski. I. nagroda: 1 gwinea, II. nagroda: 2 gwinee. Termin: 1 sierpnia 1909 r.

2. Z życia ludu wiejskiego. I. nagroda: 1 gwinea, II. nagroda: 2 gwinee. Termin: 1 września 1909 r.

Nadto otworem stoją jeszcze następujące konkursy: Rysunek na haftowaną torebkę do 1 lipca 1909 r. z klasy A. Wybrzeże morskie do 1 lipca 1909 r. z klasy C.



### Sprawy szkolne.

Ministerstwo wyznań i oświaty przygotowuje nowy, szczegółowy plan nauk dla gimnazyów klasycznych, skutkiem czego mają nastąpić poważne zmiany w ustroju szkół tego typu. Projektowane jest również wprowadzenie nowych, dotychczas nieużywanych autorów łacińskich i greckich oraz rozszerzenie lektury dzieł obecnie branych pisarzy. Dotyczące zmiany mają wejść w życie już w najbliższej przyszłości.

Z obowiązku sprawozdawczego należy zanotować żywo wśród kształcącej się młodzieży komentowaną wiadomość, iż z początkiem roku szkolnego 1909/10 nastąpić ma reorganizacja krakowskich gimnazyów oraz przekształcenie 2 zakładów na samoistne gimnazy realne. (Vox populi wskazuje na filię gimn. św. Jacka z ul. Sebastjana oraz gimn. piątę). Zmiany powyższe mają być wprowadzane kolejno z roku na rok w ten sposób, iż dopiero po kilku latach posiadałyby owe zakłady kompletną ilość klas nowego typu.

*J. St.*



## Kalendarz symboliczny.

### LIPIEC.

- 1) Teodoryk (Wódz potężny) z teutońskiego.
- 2) Oton (Bogaty) z teutońskiego).
- 3) Anatol (Świt) z greckiego: ἀνατολή.
- 4) Ulryka (Szczęśliwa) z teutońskiego: ulreich. Berta (Piękna) z teut.
- 5) Zoe (Istnienie) z greckiego: ζωή.
- 7) Eliasz (Bóg silny) z hebrajskiego: El Yah
- 8) Elżbieta (Dom Zbawienia Pańskiego) z hebrajskiego: El ischa beth.
- 13) Anaklet (Wzywany) z greckiego: ἀνακλεττός.
- 14) Bonawentura (Pomyślnie przybyły) z łacińskiego: bona adventus.
- 16) Estella (Stella) z łacińskiego: gwiazda.
- 18) Arnold (jak i Rinaldo) (Czysty) z teutońskiego: rein. Św. Arnold jest patronem piwowarów. Fryderyk (Państwo pokoju) z celtyskiego: fried reich.
- 19) Arsen (Męski charakter) z greckiego: ἀρσενικός.
- 22) Magdalena (z miasta Magdali) z hebrajskiego: migh dalom = wieża. św. Magdalena jest patronką rękawiczników.
- 23) Apolinary (z rodziny Apollina) grecko-łaciński pierwiastek. Św. Apolinary jest patronem fabrykantów szpilek.
- 24) Aquilina (Orla) z łacińskiego: Aquila.
- 25) Jacek (łacińska forma imienia Jakóba). Św. Jacek jest patronem młynarzy i kapeluszników.
- 26) Anna (Urocza) z hebrajskiego: hhanan: wdzięk. Św. Anna jest patronką stolarzy. Erast (Godny miłości) z hebrajskiego: érōs.
- 27) Pantaleon (Wszechmiłościwy) z grec.: πᾶν ἐλεέριον. Patron doktorów. Natalia (Rodzima) z łacińskiego: natalio.
- 29) Marta (Wojownicza) z łacińskiego: Martia.
- 30) Abdon (Sługa) z hebrajskiego: hebedh.



*Treść Nr. 12:* 1. Wynik sądu konkursowego (na temat: Ideał studenta polskiego), — 2. Z zakończenia pieśni społecznej. Cypryan Norwid. — 3. O Cypryanie Norwidzie słów kilka (ciąg dal.). Stan. Cywiński. — 4. Najmilsza chwila. M. Z. — 5. Vade mecum przyszłemu laureatowi. E. Mirohorska. — 6. Geneza spisku podchorążycy (dokoń.). L. Świdą. — 7. Prorok tułacz. Pieśń wtóra. Aleksander Grzybowski. — 8. W sprawie spornego artykułu: „Z życia wśród młodzieży”. — 9. Dwie wystawy sztuk pięknych. — 10. Ze sportu. — 11. Z życia młodzieży. — 13. Zestawienie działalności. — 14. Dar Grunwaldzki. — 15. Nasze pisma. — 16. Konkurs miesięcznika „The studio”. — 17. Sprawy szkolne. — 18. Kalendarz symboliczny.

---

Odowiedzialni redaktorowie i wydawcy: Dr Tadeusz Grabowski i Marya Piechocka.

---

Z drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.